

Józef Kraszewski

Bajka o kurce i kogutku

Nie wiem, gdzie i kiedy był sobie dawniej kogutek i kurka, oboje młodzi i piękni oboje. Nie dziw też, że się serdecznie kochali. A choć kogut tyle miał żon, ile widział kur przed sobą, jednak na jakiś czas przywiązał się do tej tylko srokatej kurki. Piękna była kurka, ale jak niejedna z kobiet pokrywała ślicznymi połyskującymi piórkami brzydkie wewnątrz serce i duszę. Była ona tak żywa i płocha, jakby dzisiejsza mieszcza, popędliwa jak wiele żon, głupia i szczebiotliwa jak wiele dziewczyn, które kwoczkami nazywamy, a co najwięcej: żarłoczna i łakoma.

Kogut starając się, aby go polubiła, nie odstępował jej na krok i cały dzień musiał znosić dla niej, co tylko mógł do jedzenia znaleźć gdzie i porwać smacznego. Głodniał i sechł biedny kogut z miłości i trudu, a kura tłuściła coraz okrągłej, szczebiotała coraz głośniej. Jednego pięknego ranka, kiedy słońce świeciło, a niebo było czyste, poprosiła kurka koguta, aby jej towarzyszył do lasu na orzechy.

Jak przyszli do lasu, kogut wlaź na leszczynę, zaczął trząść drzewem i wiele natrzął pięknych i dojrzałych orzechów. Głodny był i sam chciał się także pożywić przy tym zdarzeniu, ale jejmość pani kurka, co tylko upadło, chwytła prędko i łykała, łykała łakoma, żeby się kogutowi nic nie zostało. A kogut trzął ciągle, sądząc, że jak się naje, zostawi przecie na ziemi i dla niego kilka orzechów. Na próżno się nieborak mordował i potniał. Kura jadła i nic nie zostawiała. Wtem orzech jeden większy, gdy łykała, uwiązał jej w gardle wążuichnym, zakrzusowała się, udławiała i padła, o ziemię trzepiąc skrzydełkami. Kogut piorunem zleciał z drzewa i przypadł do niej. Leżała bez ducha, wyciągnięte miała śliczne żółte nóżki i zdychać się zdawała. Żal chwycił koguta za serce, chciał ratować ją — nie można było inaczej jak wodą. Wody nie było w lasu ani kropli, trzeba iść było do morza. Poczciwy kogut pobiegł do morza, biegł, biegł i przybył.

— Morze, morze! - zawołał żałośliwym głosem, przyszedłszy. — Daj wody!

— Komu wody? — odezwało się morze zielone ogromnym głosem.

— Mojej kurce wody, kurka leży wedle drogi, ledwie tchnie.

— A w cóż dam ci wody?

— W co wody? — odezwał się zafrasowany kogut. — Dalipan, anim o tym pomyślał biegnąc.

— Tak to wy zawsze, młokosy, robicie — odezwało się morze. — Sami nie wiedząc, czego wam potrzeba. Idź, poproś wieprza, niech ci kła pożycz, nabierzesz w kiel wody i zaniesiesz.

Kogut pobiegł znowu prędko. Przychodzi do wieprza. Wieprz wylęgał się na barłogu do góry brzuchem, bo słońce świeciło mu i grzało. Kogutek, przybiegłszy, ukłonił mu się po francusku i odezwał:

— Bądź, waszmość, łaskaw pożycz mi kła na parę minut.

— Ja, kła? — odezwał się wieprz, ponuro mruczając. — Ja, kła? Ja, kła? Cóż to znowu? Za co, na co, po co ja mam waszmości kła pożyczać? Oto także!

— Ach, zmiłuj się! - przerwał kogutek kłaniając się jeszcze niżej. — Tylko sobie w nim wody przyniosę.

— Komu wody? — odezwał się wieprz.

— Kurce wody - rzekł z westchnieniem przychodzień. — Kura, żona moja najukochańsza, leży udławiona orzechem, ledwie tchnie.

— A na cóż się było dławić? — odezwał się wieprz. — Idź no wprzódy do dębu i przynieś mi żołędzi, bo ja darmo kła nie pożyczę.

— Ach, zmiłuj się!

— Nic darmo - odezwał się wieprz. — Nogi za pas, jeżeli chcesz mieć kiel, idź do dębu po żołędzie.

Kogut pobiegł prędko, prędko — przybiegł do dębu. Dąb szumiał sobie, stojąc wśród lasu, i nie widział nawet, patrząc się dumnie w niebo jak wojewoda, że jakieś małe stworzenie zbliżało się ku niemu.

Kogutek, wskoczywszy na najbliższą gałąź, zaczął go prosić o żołędzie.

— Na co ci żołędzie? — rzekł dąb.

— Oj, to bardzo długo gadać o tym! — rzekł kogut. — Ale proszę o niewiele, czy mi pożałujesz?

— Muszę naprzód wiedzieć, na co ci ich potrzeba.

— Mnie śpieszno! — zawołał kogut. — Żona moja zdycha. Wieprz nie chce dać kła, póki mu żołędzi nie przyniosę, a kiel potrzebny mi na wodę, którą chcę ją ocucić.

— Dam ci kilka żołędzi — odezwał się dąb — ale nic darmo. Pójdź stąd niedaleko do lipy i przynieś mi od niej łyk.

— A na co waszmości łyka?

— A tobie co do tego, drobne stworzenie? — ofuknął się dąb. — Tak chcę i koniec!

Kogutek reszty nie słyszał, bo już był w drodze i zbliżał się do lipy. Skoczył na gałąź i pokornie o łyka prosił.

Lipa była w złym humorze, wiatr jej w nocy ze złości gałęzie połamał, skrzywiwszy się więc odpowiedziała:

— Na co ci łyka?

— Zmiłuj się, nie pytaj o to! — rzekł kogut. — Strasznie bym wiele rzeczy musiał ci tłumaczyć, a mnie tak pilno.

— Musisz wprzódy opowiedzieć — odpowiedziała lipa i kogut znowu zaczął swoją opowieść.

— Kiedy tak - odezwała się lipa — uważam, że nikt ci darmo nic nie daje. Idźże, waszeć, do krowy po mleko dla mnie, jeżeli chcesz łyk dostać.

— Na cóż jejmości mleko?

— A dąb na co łyk potrzebuje? — zawołała lipa. — Nic darmo, nic darmo!

Znowu leciał kogutek prędko, prędko przez łąkę, przez płot, aż do obory, w której stała krowa depcząc pod nogami słomę. Kogut siadł na żłobie i zaczął się kłaniać nisko.

— Prosiłbym o odrobinę mleka — rzekł cicho.

— Na co tobie mleka, wszak ty go nie pijesz? — zapytała krowa. Kogut rad nierad musiał znowu opowiadać z końca w koniec całą swoją historię drżąc, aby się z pomocą kurze nie spóźnił.

— Nic darmo! — zawołała krowa, — Przynieś mi wprzódy siana od kosiarzy.

— Ach, na co ci to siano? - zawołał kogutek. — Na co ci to siano? Zaraz ci go pastuch przyniesie.

— Nic darmo — powtórzyła krowa. — Miałaćbym być głupszą od innych i nie korzystać z tego zdarzenia? Przynieś siana.

„Skąd jej wziąć tego siana?” — pomyślał kogut i pobiegł zmordowany na łąkę. Na łące stali kosiarze i kosili siano; kogut zbliżył się do pierwszego prosząc o odrobinę siana.

— Na co ci siana? — odezwał się kosiarz stary.

Kogutek trzepiocząc skrzydłami wymawiał się bardzo usilnie od opowiadania historii, bo wiedział, że coraz później się robi, że słońce połowę już drogi swojej ubiegło — ale nie było ratunku. Człowiek od innych stworzeń okrutniejszym był jeszcze i ze śmiechem szyderskim słuchał opowiadania koguta, a nareszcie się odezwał.

— Nic darmo, mój mały, idź do panny Małgorzaty, niech nam da sera, a my za to damy ci trochę siana.

Kogutek zaczął się kłaniać i prosić, żeby go już dalej nie posyłano, kosiarze śmiać się zaczęli, kogutek pobiegł do panny. Panna szyła w krosnach, gdy przybiegł, a koło niej siedział jakiś wysoki drab, który się jej uśmiechał. Przyszedłszy uklonił się i zaczął prosić o kawałek sera. Panna spojrzała na niego z politowaniem i uważając, że był na pozór dość tłusty, prosiła go, czy nie może pozwolić się zarznąć. On w płacz.

Tymczasem panna zapatrzywszy się na chłopca upuściła igielkę, którą szyła, na ziemię.

Chłopiec schylił się szukać, ale nie mógł znaleźć długo, bo schyliwszy się nie patrzył na igłę, ale na pannę Małgorzatę. Jeśli mi znajdziesz igielkę — rzekła panna do koguta — dam ci sera, ale na co ci ser? Kogutek nie śmiał się nawet wymawiać i znowu zaczął płaczliwie całą powieść opowiadać, a panna z chłopcem słuchając śmieli się do rozpuku z jego miłości ku żonie i z jego frasunku.

Po długiej węce znalazł nareszcie kogut igłę i uradował się, jak gdyby go z różna zdjęto. Panna dała kawałeczek sera, zaniósł ser kosiarzom, dali mu siana. Siano zaniósł krowie, dała mu mleka. Mleko zaniósł lipie, lipa dała łyka. Łyko złożył u dębu, dąb strząsnął kilka żołądzi. Z żołądziami poszedł do wieprza po kieł. Leciał jak mógł nóżkami i skrzydłami, lecz już słońce zniżało się ku zachodowi. Wieprz kła pożyczyl, przyszedł do morza, morze dało wody i kogut, trzepiocząc się i podskakując z niespokojności, pobiegł do leszczyny. Przeszedł z wodą — ale kurka już nie żyła.